Magdalena Drab

Być jak Debbie Harry

Misterium

Występują:

RÓŻNE PERSONY ODEGRANE PRZEZ JEDNĄ DOWOLNĄ, BEZIMIENNĄ KOBIETĘ POLKĘ

Persony rozmawiające albo inaczej, mówiące, spotykają się. Albo inaczej. Przebywają w swoim towarzystwie. Można to grać w kościele albo na cmentarzu, albo w kuchni, ale najlepiej w pociągu nieobjętym rezerwacją miejsc. Trzeba być tym i tym. I matką i rozjemczynią, i samobójczynią i jak się zbierze tyle osób, co trzeba, to można zacząć. Z kumpeli można zrobić łotrzycę, a z matki, żony i gospodyni zrobić jedną osobę, sukę i sekretarkę zagrać też tą samą aktorką i wyjdzie pewnie tylko 21 osób, ale spokojnie może to grać jedna osoba. Tak się przecież zdarza. I można też mówić prężnie, żeby było szybko i ominąć śpiewanie, ale lepiej by było ze śpiewaniem.

STACJA 1

KONIEC ŚWIATA

Widownia ustawiona jak pasażerowie pociągu. Obsługa widowni dziurkuje bilety na pociąg ku zatraceniu. Na środku zgliszczy stoi kobieta z płonącą patelnią w sukni odziedziczonej przypadkiem po Marilyn Monroe.

GŁOSY W PRZESTWORZACH: Święty Boże Redaktorze, niech mnie pan wspomoże może… Co robić? Szanowna redakcjo, korektorze Boży, stróżu mój…

*

K: Na zgliszczach mieszkania albo życia, w osmolonej sukience odziedziczonej po pewnej Marilyn Monroe, najlepiej zrobić sobie zdjęcie. Przerobić popioły na jakąś sztukę. Tego nauczyła mnie Debbie Harry.

Taniec z płonącą patelnią.

K: To był koniec mojego dotychczasowego życia. Koniec świata. A wszystko zaczęło się od jajecznicy.

- Jajko to nie jest obiad. - powiedział. Miał rację. By pokryć nieprzyjemne wrażenie, zaczęłam opowiadać o pracy, szczebiotać o listach do redakcji, które dziś poprawiałam. O tramwajarzach, którzy odjeżdżają z uśmiechem ludziom sprzed nosa, o koleżankach z akademika, co nie sprzątają po sobie, o braku awansu, o braku miłości, o braku szacunku, o braku zdolności kredytowej… Przerwał mi.

- Wszystko w nas jest właśnie takie jak ta jajecznica - byle jakie, rozbełtane, nieestetyczne. Ani się nie najesz, ani oglądać nie ma czego. Dlaczego tak jest, Basiu?
- Soniu. - poprawiłam. - Znaczy, Kasiu…
- Basiu, Soniu czy Kasiu. To przecież bez znaczenia.

Racja. Bez różnicy. Nie miałam szczególnego pochodzenia, ani szczególnej urody. Miałam imię, którego sama nie mogłam zapamiętać. Coś jak Basia, Sonia czy inna Magdalena. Chodziłam do pracy, której miałam zwykle za dużo. Poprawiałam listy przychodzące do redakcji kobiecego czasopisma, korygowałam błędy i interpunkcję, żeby wszystko wyglądało ładnie. W głowie żadnej własnej myśli. Ciągle huczały mi tam tylko te wszystkie Asie z Mławy, Lilianny z Warszawy i hasła „Sercem i głową", „Trzeba walczyć" czy „Taka już jestem". Ale mimo wszystko moja sytuacja wydawała mi się całkiem stabilna i znośna. Miałam męża na stałe, moją wielką miłość jeszcze ze szkoły, *(piosenka „Pretty Baby")* pogrążonego od pewnego czasu w jakimś smutku, permanentnym kryzysie. Gdy wracałam z pracy on mówił, jak jest mu źle, a ja go głaskałam po ramionach. On mówił, że to nie pomaga i po godzinie takiego głaskania nie miałam już siły na nic więcej niż jajecznica. Nie miałam siły postarać się bardziej. Upiornie byłam zmęczona tą naszą beznadzieją i jajecznicą, ale też go kochałam. Dobrze mi szło kochanie go mimo jego przeciągającego się smutku. Dlatego pewnego dnia pomyślałam, że gdyby w moim brzuchu wreszcie wykluło się coś… Dziecko… To byłby dla nas jakiś nowy sens, ciąg dalszy... I może wtedy, gdybyśmy zdołali dać życie komuś i zająć głowę kochaniem, nie musielibyśmy tyle myśleć nad swoją przeciętnością, nad brakiem awansu, brakiem zdolności kredytowej, nad tramwajarzami odjeżdżającymi ciągle sprzed nosa… Mimo lęku postanowiłam zaryzykować i mu to jakoś na miękko powiedzieć.

Pantomima ciążowa z jajkiem. Takie kalambury.

- Co ty robisz? - zapytał.
- Próbuję ci coś powiedzieć. - wyjaśniłam.
- Ale ja nie rozumiem. To jest najgorsze. Ten brak porozumienia między nami. Od miesięcy proszę, żebyś mi jakoś pomogła, a ty nic. Tylko mnie głaszczesz albo odwalasz jakąś pantomimę. A mi od tego jest jeszcze gorzej. Jak tak dalej będzie, to nigdy się nie podniosę. Niszczę siebie, ciebie. Czekam, żebyś mi powiedziała wreszcie: weź się w garść, bądź mężczyzną, a ty nic. Czemu? Bo napisali w jakimś poradniku psychologicznym, że tak nie wolno? To, co robisz, też mi nie pomaga. Tak strasznie się nudzę... Poznałem kogoś. Nie wiem, czy coś z tego będzie, ale przy niej czuję wreszcie, że żyję. Ona jest jak Marilyn Monroe z duszą punka. Jest w niej przygoda. Czuję, że muszę zaryzykować, bo się wykończę. Wiolu… Byliśmy młodzi, coś nam się wydawało, że to już, że tak należy, ale to nie była miłość. Też to wiesz, prawda? Przepraszam. Nie miej poczucia winy. To nie jest o tobie. - powiedział i wyszedł z walizeczką, którą przez cały czas ukrywał pod krzesłem.

Tak, ta historia zupełnie nie jest o mnie. To życie jest o kimś innym.

- Po resztę rzeczy wrócę w przyszłym tygodniu. - powiedział jeszcze z korytarza i zniknął na dobre. Czułam, że robi mi się gorąco. Policzki piekły mnie, jakbym właśnie dostała w twarz. Zostałam sama. Sama ze sobą.

Hałasy domu z wszystkich stron, upiorna cisza, upiorna samotność.

Wrócisz po rzeczy… No, ciekawe. A może już nic tu nie będzie na ciebie czekać. Ani nikt? W głowie powtarzałam sobie tylko jedno: nie jestem nudna, nie jestem nudna. Nie jestem tak nijaka, żeby nie być nawet wartą kochania, nawet przez kogoś, kto się ze mną na to umówił i kogo kochać jest cholernie trudno. Nie jestem byle jaka, nie jestem kimś, kogo się nie zapamiętuje. Nie jestem żadną epizodystką w cudzej historii. Dosyć tego! Dosyć! Co ja mam zrobić? Salto? Trwałą?Sztuczny biust? Doktorat? Zarobić milion? Kiedy będę wreszcie wystarczająca? Miałam trzydzieści sześć lat, gówniane mieszkanie, gównianą pracę, żadnego hobby i nawet pół gównianego męża u boku. Boże redaktorze! Oszukali mnie! Moje życie dotknęło brakoróbstwo! Moje życie uległo rozsypce na byle wietrzyku, bez żadnego szczególnego powodu, który uwzględnia ubezpieczenie!Nastawiłam jajecznicę i podkręciłam gaz. Do oporu, ile pokrętełko dało, niech bestia pokaże co potrafi. Patrzyłam

jak jajka się zwęglały, jak stopniowo pogarszał się stan patelni i mówiłam sobie: chuj, nie ugaszę! Przyniosłam też trochę losowych rzeczy męża i dorzuciłam do jajecznicy. Strasznie zaczęło cuchnąć, i dymić, i te iskry wszędzie, jednym słowem zrobiło się nieprzyjemnie, ale obiecałam sobie, że nie pozwolę nudnej dojść do głosu. Stanęłam pod drzwiami kuchni i obiecywałam sobie, że nie spękam. Niech płonie! Tak! Też mam duszę punka! Właśnie się wykluwa. Jestem odpowiednio zdesperowana, wściekła i pełna brawury! Doprowadzę do strasznej, smolistej zemsty. Rytuał rozpoczęty! Nie ugaszę!
Niech płoną twoje slipy,
płyty, książki i zeszyty!
Rzeka trunku smolanego
Oraz ognia siarczanego
Na patelni się gotuje,
Już swąd piekła sąsiad czuje,
Ale u mnie drzwi zamknięte
Z zaporami, z łańcuchami,
Nie dostaną się strażacy
Niech się pali, niech się pali!
Po rytualnym tańcu następuje nikły pierd wybuchu, pozostawiający nad patelnią wąską smużkę dymu.

**

Wytrzymałam pożar wystarczająco długo, by w mieszkaniu nie dało się dalej żyć, ale na tyle krótko, by ugasić go samodzielnie i się nie udusić. Tak naprawdę spłonęła tylko jajecznica i trochę rzeczy męża. Nie byłam wystarczająco brawurowa. Właściwie to cały czas stałam z wiadrem w ręku i odliczałam sekundy. Serce rwało mi się do kranu. Święty Boże Redaktorze! Jestem nudna. Taka od-do. Nikt nawet nie zapamięta mojego imienia. Co ja mam robić? Ale Bóg Redaktor nie odpisywał… Popatrzyłam na mój brudny od sadzy świat. Wszystko osnuła czarna jajeczna maź. Cóż, trzeba zrobić zdjęcie tego końca świata. Może pani/pan? Zdjęcie w najlepszej kiecce. Bardzo dziękuję. No. I teraz wychodzę. I nie wiem czy wrócę.
Śpiewam piosenkę „Once I had love…", ale raz tylko. Więcej na razie nie będzie. Dochodzę do ściany i idę w miejscu jak bezradny Sims.

* * *

Miałam kiedyś plakat „Blondie" w pokoju. Gapiłam się w jej usta w kształcie serca i głębokie spojrzenie. Gdybym to ja była redaktorem naczelnym mojej historii i miała wymyślić siebie lepszą, to chciałabym być taka jak ona. Potem zawsze w największej dupie życia pytałam siebie, co zrobiłaby Debbie Harry? Ona potrafiła, zachować się jak trzeba. Gdy jej matka oddała ją do adopcji, ona pokochała nowych rodziców. Gdy facet włamał się jej do mieszkania, ukradł gitary i zgwałcił ją, ona pomyślała: to nie moja wina, ale szkoda gitar. Gdy prześladował ją stalker przerobiła jego list na jeden z największych hitów swojego zespołu. Gdy facet do złudzenia przypominający Teda Bundiego porwał ją autem bez klamek, przecisnęła palce przez niewielką szczelinę w oknie i uciekła. Gdy uznała: nie chcę tu żyć, wyjeżdżam, to wyjechała.

STACJA II

Pociąg z Madonnami
„Rapture". Lustro w scenografii.

Persony do niej: Maria z Torunia, Maria Magdalena, Maria Salome, Maria Jakobi, Maria Chuzowska, Wielka Amputowana

*

K: Peron. Na kolejną stację wybrałam peron, bo tu jest ciągle przewiew i nie śmierdzi tak jajem. Poza tym jest wiele możliwości. Huragan opcji. Można wsiąść do jakiegoś pociągu albo poczekać na następny, albo rzucić się pod jakiś. Nie mam powodu rzucać się pod pociąg. To tylko facet. Mąż, ale facet. Facetów jest pełno. Zajęli pół planety. Nie mam powodów do zmartwień. Ta zmiana jest właściwie na plus. To on miał ciągle zły humor. Ja mam dobry. Ja jestem zadowolona. Potrafię cieszyć się małymi rzeczami, takimi jak pożar i wyciągać z nich dla siebie coś dobrego. A teraz, gdy nic mnie tu nie wiąże i nie trzyma, mogę wyjechać. Mogę. Tylko najpierw posiedzę sobie w mojej sytuacji, a potem wsiądę do pierwszego nadjeżdżającego pociągu. Niech los zdecyduje, co dalej.

MARIA Z TORUNIA: To nieodpowiedzialne zrzucać życiowe decyzje na los.

K: Wygląda na to, że ktoś podsłuchał moje myśli. Bardzo wścibskie zachowanie. Typowe dla panny w mundurku, którą widzę obok. Niby jest w swetrze, ale jakby zbyt wypranym, niby w rajstopach, ale jakby zbyt nowych i w takich butach niechodzonych, służących do stania na peronach obok starannie spakowanych walizek. Paluszek przy paluszku, plecy przy plecach, w ścisku… I ta Katarzyna z Torunia czy inna Maria zaczyna mi perorować nad uchem cała zaprasowana w kancik.

MARIA Z TORUNIA: Żeby dzisiaj spotkać odpowiedzialnego człowieka
do radia, prasy, filmu, książek trzeba się uciekać.
A moja siostra Ania - od zawsze poważna dziewczynka,
Od małego klucz na szyję, tak jak mama i ciotulka.
Mama nie bierze chorobowego, nawet kiedy zachoruje,
W pracy wiele od niej zależy i ona to czuje.
Zostaje po godzinach, poprawia cudze błędy,
To jest odpowiedzialność, szacunek dla urzędu.
Z tym się rodzisz, jak ta moja siostra Ania.
Rodzice szli do pracy, ona w kurtce w drzwiach stała,
Aż wskazówki na zegarze były jak mama pokazała
I wtedy szła do szkoły, i się nigdy nie spóźniała.
Cztery godziny tak mogła czekać na właściwą porę,
Kartki informacyjnie zostawiała na stole.
To jest odpowiedzialność! „Ania poradzi” - tak mawiam,
Kiedy mama z nią w domu samą mnie zostawia,
By te błędy po innych w pracy popoprawiać.
Mama i Ania nie wpadłyby, żeby losem się zabawiać.
Z odpowiedzialnością trzeba się urodzić - tak mniemam.
Bez nasienia nie wykiełkuje wszak bujna roślina.
A! I moja ciocia! Z zawałem w szpitalu leżała
I ani przez sekundę o sobie nie myślała,
Tylko co będzie z jej starą matką - bolała -
Gdy jej zabraknie, tym się właśnie zajmowała.
Cóż za piękny przejaw odpowiedzialności,
Ach, och, punktualności, akuratności…

K: A mnie bierze na mdłości. Rozpoznaję list sprzed lat
I tę śpiewkę, która wisi nade mną jak krzyż albo kat.
Podaj dalej, na kolejną, więcej odpowiedzialności!
Kto weźmie więcej nieswojego? Kto swoje podrzuci
Jak kukułeczka jajo, życie za innych ludzi?

Ja właśnie jestem odpowiedzialna, kanciasta mądralo. Odpowiedzialność zaprowadziła mnie tu, gdzie teraz jestem. To przez takie jak ty ta historia nie jest o mnie. To przez takie jak ty moje życie jest o kimś innym. W myślach uderzam pięścią prosto w schludną twarz Marii Kasi z Torunia, a ona nieoczekiwanie prawdziwie i boleśnie upada na ziemię. Czerwona jucha z jej nosa sączy się i kapie na polski peron, gdy wjeżdża nań pociąg biały jak orzeł i wielki barzo.

**

Wsiadam do tego pierwszego pociągu, który nadjechał, bo tak sobie obiecałam i słowa dotrzymam. Szkoda tylko, że to taki pociąg na miarę mojej odwagi. Jedzie najdalej do Tychów albo Jelcza-Laskowic. Nieważne. Coś podmiejskiego takiego, w sam raz na grzyby. Piętnaście stacji w różnych wsiach i zaściankach, prędkość wołu i tak dalej. Jak uciekać od życia, to tylko do Jelcza! Co mam zrobić? Sprawdzić czy tam też jest Dino? Co ja mam zaczynać na takim końcu świata? Ale słowo się rzekło. Na domiar złego okazuje się, że w wagonie siedzą same kobiety. Na drzwiach zauważam nawet to kółeczko. Kobieca toaleta? Zsyp na kobiece nieczystości? Pasażerki układają sobie nad głowami małe aureolki z przypadkowych przedmiotów. Coś tu jest grubo nie halo - myślę. Ale jednocześnie wszystkie wydają się miłe, wyciągają do mnie ręce i przedstawiają się niepytane wszystkie po kolei: Maryja Magdalena, Maryja Jakobi, Maryja Salome, Maryja Chuzowska z Grudziądza albo ze Skarżyska. Widać, że Polki. Z tych Polek prawdziwych. Wszystkie do szpiku kości są kobietami, bo kobieta ma na pierwsze Maryja. To logiczne.
„Maria”…
Jak z obrazka świętego, z twarzą porcelanową,
Nieśmiałym spojrzeniem i z wargą różową,
wklepują kremy w ciała spracowane,
bo nigdy nie umrą, lecz do nieba zostaną zabrane.

CHÓR MARYJ: Smutno ci z oczu patrzy, dziewczyno.
Każda z nas wie, jak bardzo ci źle.
Bo prawdziwej kobiecie
Nigdy lekko na świecie…
Jakiś cierń na istnieniu,
Zawsze czai się w cieniu.
Ta Maria ma męża, Dąbrowskiego, doktora,
Mają dwójkę dzieci, urocza z nich para.
Ona go kocha, on kocha ją,
Wokół nich domy i dzieci rosną.
Aż tu nagle taka krzywda podła,
Kobieta na dyżurze doktora umarła.
Po porodzie domowym, chora kobieta…
Doktor zaordynował co trzeba, lecz musiał się zbierać.
I akurat wtedy ona wzięła i umarła,
A polska sprawiedliwość doktora nie wsparła.
Sąd się namyślił i orzekł, że winny.
Kto inny powiedziałby: trudno, ale nie oni.
I choć pracy nie stracił, a dzieci rosną, jak rosły,
Doktor zapadł się w sobie i oczy mu zgasły.
Taka krzywda! Pani Dąbrowska tylko tym żyje,
Przywróci imię mężowi, podejmie każdy wysiłek.
Nie ma innych zajętości, prócz do męża miłości,
A tej kobiety nie znała, niejedna przy porodzie umierała…

K: Marie litościwie kiwają głowami

I ciągle głaszczą swe blizny palcami,
Powoli, tak lekko, prawie erotycznie.
Panny stateczne, nieczynne mimicznie.

CHÓR MARYJ: Tu nasza młoda Gawryś Halina Maryja,
Chłopaka swego już za młodu zbawiać zaczyna.
Choć ten pali i pije, a rodzice zabraniają,
Odciągnie go od nałogu, lecz czy panie sposób znają?

K: Wymienią się wszystkie Marie przepisami na zbawienie.
Chłopak będzie jak nowy w tym lub w przyszłym pokoleniu.

CHÓR MARYJ: Wszystkie problemy rozwiązać można
za pomocą różańca. - radzi Maria Pobożna.
Warto zaryzykować! Przetestowała na sobie!
Z mężem się nie kłóci, dzieciom awantur nie robi.
Bo dzieci cudownie uległy poprawie.
Właściwie to… Nie spotyka ich prawie.
Zbyt jest pogrążona w modlitwie, kochane,
I bólu nawet nie czuje, gdy sól jej sypią na ranę.

Różowo radosne, błękitno-gładziutkie
Maryje rozkoszne, Maryje zgrabniutkie,
Dziewczyny z plakatu, z obrazka świętego,
Narzeczone Boga redaktora samego.

Śpiewam utwór „Maria", ale tylko troszeczkę.

K: Wszystkie idealne, ale jakieś pocięte,
Swoją świątobliwością tak strasznie zajęte,
A w każdej jakiś brak, w każdej amputowane
Ręce, nogi, język… W każdej rana na ranie.

CHÓR MARYJ: Czemu, dziewczyno, patrzysz na nas z obrzydzeniem,
Każda Maria spełnieniem fantazji, najwyższym pragnieniem.
Rób to, co my, a jeszcze znajdziesz się w niebie.
Pomysły na amputację? Wierzymy w ciebie.

K: Na amputację? Ja? Siebie? Mam kaleczyć? I ta ujma ma być niby na plus? Spoglądam na swoje ciało. Na palec wychudły od noszenia obrączki, na pęcherze na wnętrzu dłoni powstałe od głaskania męża i cholesterol z jajecznicy zebrany w krostkach pod okiem, każda w kształcie łezki… Maryje skandują cichutko: Utnij! Utnij! Utnij!
Polaroidowe zdjęcie zostaje zakolorowane stopniowo na poziomie nosa.
Co ja bym miała uciąć? Za duże uszy? Za duży nos? Za duży tyłek? Za duże serce? Zbyt zachłanny żołądek? Jest tyle rzeczy, które w głębi duszy chciałabym sobie uciąć, ale trochę nie mogę się zdecydować albo odważyć… Marie niecierpliwią się. Podsuwają mi scyzoryki, krajalnice, noże do chleba...
- Patrzcie! Ona już to ma! Ona jest jedną z nas! - krzyczy niespodziewanie Maria Chuzowska z Ostrołęki. Podążam wzrokiem za jej palcem wskazującym i nagle widzę… dziurę. O, cholera! Wielka, krwawa, oddychająca dziura w samym środku mnie. Jak mogłam jej wcześniej nie zauważyć?
Dziura pochłania rękę. Rozpoczyna się walka z dziurą na śmierć i życie,

Zaczynam czuć się nieswojo i zastanawiam się, dokąd jedzie ten pociąg z babami po sam sufit? Czy aby na pewno do Jelcza? Co tu się dzieje? Czemu ja z nimi gadam? Przecież ja nie chcę być jak Maryja. Chcę być jak Debbie Harry! Jak Debbie Harry!

***

K: Do przedziału wchodzi Stefania Maliszewska, największa z Maryj w wagonie.

Czytanie z listu Marii Stefanii Maliszewskiej do Prezydenta Bolesława Bieruta napisanego z okazji urodzin.

WIELKA AMPUTOWANA: „Ja jestem gospodynią domową i pragnę z całego serca złożyć Wam, Towarzyszu Prezydencie, jak najszczersze życzenia, a na zobowiązanie podejmuję się, ażeby lekarz odciął mi moją lewą rękę przy ramieniu, może to moje zobowiązanie, choć w małym stopniu przyczyni się do śmiertelnego zakrztuszenia posttrumanowców i samego Trumana. Niech się jeszcze raz przekonają, że my, matki i kobiety Polki, jesteśmy zdolne do poświęceń za cenę utrzymania pokoju i zapewnienia jeszcze jaśniejszej przyszłości naszym dzieciom i nie dopuścimy, ażeby na naszej spokojnej ziemi i odbudowującej się Ojczyźnie miała się toczyć trumanowska wojna o dolara. Przy dokonaniu mego zobowiązania mógłby być naocznym świadkiem amerykański przedstawiciel, ażeby był pewny, że to jest fakt. Towarzyszu Prezydencie, po przeprowadzeniu tej operacji będę nadal wykonywała swoje czynności bez trudności, już próbowałam pracować jedną ręką, będzie wszystko szło sprawnie, mój mąż i synowie nie będą odczuwali jakichkolwiek niedociągnięć. Podpisano: Stefania Maliszewska.”

K: W wagonie rozlega się wielkie „wow”. Maryje same nie wiedzą, czy stawać czy klękać wobec takiej świętości, tak są odurzone ortodoksją postępku Prapolki Marii Stefanii Maliszewskiej. Patrzą z zazdrością na króciutki, starannie urżnięty i utrzymany w czystości kikut. A potem na mnie. A potem na kikut i znowu na mnie. Sprawdzają, czy też jestem pod wrażeniem.

WIELKA AMPUTOWANA: Ty, dziewczyno, także jesteś stworzona do wielkich rzeczy! Nie do małości!

K: Mówi wielka amputowana i wskazuje na mnie niewidzialnym palcem. Dziura w moim brzuchu wydaje z siebie pełne rozkoszy westchnienie, a ja czuję, że niechcący trafiłam na spotkanie jakiejś sekty i zaraz mnie zwerbują.

WIELKA AMPUTOWANA: Jesteś jedną z nas! W głębi duszy wiesz, że poświęcenie się opłaca. Twoje rany to źródło siły, które pozwoli ci rozpętać huragan zmian! Z raną jest nawet lżej! Nie rozumiesz, co mówię? Patrz na mnie!

„Kung fu girls” / „The jam was moving” Taniec bez ręki w wirze codziennych obowiązków wykonany przez Marię Stefanię Maliszewską. Czarno-biały film z lektorem lub niema scena ruchowa.

LEKTOR: Poznajcie Stefanię Maliszewską. To ona. Cicha bohaterka. Niedawno urżnęła sobie lewą rękę, by powstrzymać tego diabła Harrego Trumana. Właśnie wraca do domu. Odkłada jedną siatkę z zakupami, potem wyciąga drugą z zębów i stawia na wycieraczce. Otwiera drzwi. W domu gwar synów. Synowie więksi i mniejsi, zrodzeni z jej łona, choć niepoczęci, rozpanoszeni po domu, ciągną się za włosy i podbijają sobie oczy. Wreszcie jeden ją zauważa i odbiera od niej zakupy, ten kochany, ten dobry, nie-pijak. Ona rozpakowuje torby, myje warzywa, ale to wszystko zabiera dwa razy więcej czasu niż kiedyś, o jedną rękę za wolno jej to idzie. I zanim biedna Stefania odkręci, zanim sięgnie, to już leci, a zanim ona wytrze, a zanim zakręci, to już odłożone na brudne. Gdyby miała córkę, to by jej pomogła. By z nią te siatki, te warzywa ogarnęła, mięso pokroiła. A tu tylko synowie ze

śrubokrętami i z młotkami, rozkręcają radio, syrenkę, ściany rozkuwają. Ho-ho! Urwisy! Stefania ma na szczęście swoje sposoby na ciężką dolę. Jak mięso kroi, to kolanem sobie przytrzymuje. Albo ręczniczkiem okłada, żeby było higienicznie i okrakiem siada na świniaku. Tylko wolno to wszystko idzie. O rękę za wolno… Więc Stefania Maliszewska pod koniec lat pięćdziesiątych postanawia przyśpieszyć dwukrotnie za pomocą tajemnej siły, która w niej drzemie. Ta siła nazywa się upór. Gdy łapie wprawę w sześćdziesiątym pierwszym, przyśpiesza tak zawrotnie, że gotuje, zanim zgłodnieją, zmywa, nim zjedzą, pierze, nim się ubrudzą i jest już na progu starości, nim odstawi najmłodsze dziecko od piersi. Tak oto Maria Stefania Maliszewska zapoczątkowuje wielki ruch wśród Polek! „Zakon kikuta" udowadnia, że czasem minus równa się plus. Kolejne kobiety zauważają, że lepiej pracować jedną ręką, bo przy napędzie z uporu, tak jest nawet szybciej. Zaś drugą rękę można zaoszczędzić dla przyszłych pokoleń albo na relikwie, albo na obiad, co przy kartkach na mięso nieraz ratuje niedzielę. Kto stał po skrzydełka do rosołu, ten wie. Zamiast męczyć się osiemdziesiąt lat dwiema rękami, można odciąć sobie jedną ręką i w przyspieszonym tempie po czterdziestu latach mieć już całe życie za sobą. Czy to nie wspaniale?

K: Przepraszam, chyba pomyliłam pociągi… - mówię nieśmiało - Bo ja nie chcę być jak kombatant. Chcę być jak Debbie Harry. Wielka amputowana zdaje się nie rozumieć, a powieki opadają jej lekko: jedna wrogo, a druga podejrzliwie.

WIELKA AMPUTOWANA: Debbie Harry? To brzmi jak jakaś posttrumanowska niezguła. Jak opętana przez dolara ecie-pecie. Może ona mogłaby stać się amerykańskim świadkiem wielkości mojego czynu i otworzyć dla naszej metody drogę na nowe rynki? Znasz ją?

K: Pyta mnie wielka gospodyni domowa, a jej fryzura układa się w głośny pytajnik. Odpowiadam, że osobiście, to nie… Ale wielka amputowana nie zraża się tą odpowiedzią.

WIELKA AMPUTOWANA: To być może poznasz lepiej. Debbie Harry… Harry Truman… To i to Harry, jak dla mnie. A my potrzebujemy Amerykanina dowolnej płci, który zaświadczy, że wszystkie nasze cierpienia były bezpośrednio zamieszane w ocalenie świata. Nie na darmo jesteśmy całe w ranach i w bliznach, moje Marysieńki! W tym pociągu jedzie dziedzictwo naszej kobiecości. Samotne matki internowanych mężów, opiekunki, co wyemigrowały do Niemiec i śpią na podłodze, włókniarki bez pracy, nauczycielki bez języka, sekretarki parzące kawki do końca swych dni, ofiary przemocy domowej... Basiu, Soniu, czy inna Natalko, jesteś częścią tego dziedzictwa. Jesteś przejawem metody! Byłaś oparciem dla swego męża. Wywiercił ci solidną dziurę w brzuchu, ale dzięki twojemu poświęceniu dojrzał do tego, by znaleźć szczęście u boku innej kobiety. Należy ci się medal! Każdej z nas! Wiele myślałam o niesprawiedliwości i o krzywdzie, a potem jeszcze raz o krzywdzie i o krzywdzie, i doszłam do wniosku, że nie może być tak, żeby osoba o takim charcie ducha, takim samozaparciu, tak słowna, obrotna, z tak higienicznie zachowanym kikutem działała tylko na rodzimym rynku, tak często lekceważona przez prezydenta i historię w ocenie sytuacji geopolitycznej. Przedostaniemy się do Stanów Zjednoczonych, zainfekujemy telewizję i sterylnym kikutem pokażemy im, kto tak naprawdę załatwił Trumana. Kto tak naprawdę wygrał tę wojnę... A ta Harry, będzie naszą wtyczką.

K: Do Stanów? Pociągiem, co jedzie najwyżej do Jelcza? Ale największa z Maryj, najbardziej amputowana w wagonie, jakby domyśla się moich wątpliwości.

WIELKA AMPUTOWANA: Polki są najpiękniejsze - to powszechnie znana prawda powtarzana nam w krajowej propagandzie oraz przez turystów. Jesteśmy towarem eksportowym najlepszej jakości, który nadaje się także na przemyt. Siostry, nasz biały pociąg sunie prosto w wielkie nozdrza Stanów Zjednoczonych, witam was w portalu przemytniczym. Nasze piętnaście minut sławy nadchodzi.

K: Za oknem ukazuje się wielki, kobiecy nos. Wiatr wzmaga się niepokojąco i portal przemytniczy zasysa nas z niezrównaną siłą prosto w piekło imprezy z lat siedemdziesiątych, gdzieś w czeluściach Nowego Jorku.

STACJA III

TV Party - radosne piekło lat 70-tych

LEKTOR: Hello, hello, welcome to TV show! Hey, Hey, welcome to USA!

Kobieta Polka skacze na lasce Pogo, ujęcia na buty widowni, ziewających widzów, Kobietę Polkę grającą na skrzypcach, skubiącą paznokcie, huśtającą się i wpadającą w kadr, z warzywami na głowie, z łukiem, w złotym cylindrze, w różnych barwach, jak z obrazu Warhola, aż na ekranie pozostają tylko wielkie, mówiące usta. Tło koloru sukienki.

„Hanging on the telephone". Monolog Debbie mówiony po angielsku z polskimi napisami.

DEBBIE: Przepraszam, że zawracam ci głowę, nie powinnam dzwonić. Jesteś zajęty? Chodzi o to, że zapukałam dzisiaj do waszych drzwi. Tak wiem, że was nie ma. Nie ma nawet waszej wycieraczki. Wyprowadziliście się… Andy Warhol nie żyje, a ja czuję się, jakby w moją głowę wjechał pociąg. Chciałam cię zobaczyć, potrzebowałam z kimś pogadać, ale zapukałam do was i okazało się, że nikt tam już nie mieszka. Mogłeś mi powiedzieć. Rozumiem, że inna okolica będzie lepsza dla waszych dzieci… Tak, wiem, że nie musieliście mi o tym mówić. Może przychodziłam za często? Czy o to chodzi? Nie zaprosiłeś mnie nawet na swój ślub. Kogo jak kogo, ale mnie mogłeś zaprosić. Nie wypominam ci, ale zawsze myślałam, że jeśli będziesz brał ślub, to mi powiesz. Dlaczego? Bo to ślub, a ty jesteś jednym z najbliższych mi ludzi na świecie. Jako dziecko, po tym, co zrobiłeś, powiedziałabym ci, że kiedy będę już sławna i bogata, pożałujesz swojego zachowania. Ale jestem dorosła, sławna i nie mam żadnej władzy nad nikim. Wszyscy mogą mnie swobodnie porzucać. Ty, Andy, biologiczna matka... Nie użalam się nad sobą. Stwierdzam fakt. Wracając spod waszego mieszkania, a właściwie spod tej pustej nory, w której nie ma już po was śladu, poszłam nad rzekę Hudson. Patrzyłam w nią i powtarzałam sobie: porzucona, porzucona… Lepiej mi po tym. Zrozumiałam, że to jest mój kod. Mówisz: porzucona i ja się otwieram. Nieważne... Chciałam ci tylko powiedzieć, że Andy nie żyje. Załatwił go woreczek żółciowy. Do czego to w ogóle służy? Dlaczego nie można żyć bez woreczka? Albo bez poczucia, że ktoś cię w ogóle chce…
Debbie Harry patrzy w lusterko i widzi jakąś Sonię, Kasię czy inną Grażynkę. Nie jest zadowolona z odbicia. Mówi coś w rodzaju „O, fuck!".

STACJA IV
Zmartwychwstanie.

Persony do niej: Ja, gołębie.

K: Budzę się na dworcu jak jakaś bezdomna. Opary jaj i toksycznej relacji musiały narobić szkód w moim mózgu. Zamiast na dworzec powinnam jechać na SOR, wreszcie zaznałabym trochę troski i uwagi, ktoś by się zainteresował tym, co mi dolega. Zrobiliby mi badania, obejrzeli moje rany i kontuzje. Mi! Mnie! Ja! A co mi właściwie dolega? Toksyczne dzieciństwo, toksyczne środowisko, toksyczny związek… Nie musiałam już nawet popadać w nałogi. Wszystko zryte doszczętnie, nawet pół zdrowego neuronu. Tyle lat myślisz, że jesteś na miejscu, że wszystko sobie ułożyłaś, aż tu nagle nic się nie zgadza. I te włosy! Co jest? Osiwiałam? Naprawdę? Odebrał mi wszystko? Z poczuciem wartości i sensu zabrał jeszcze pigment!? Boże redaktorze, ludzie jakoś przechodzą przez rozstania, a ja? Siwienie. Totalny rozkład. Jakbym była hubą bez żywiciela, a przecież to ja byłam żywicielem.

To wszystko ja, ode mnie, dzięki mnie, a on wampir… Jakaś staruszka na peronie karmi gołębie. Na froncie tak mi to robi, więc zaczynam na nią wrzeszczeć, że nie wolno, że te odchody, że to nie miejsce i że tu ludzie próbują pozbierać się do kupy, a te kupy tylko im to utrudniają. Ona mi na to, że będę się smażyć w piekle. Basiu, Soniu czy inna Magdaleno, wszystko co miałaś, to poczucie, że jesteś dobrym człowiekiem, że tak się starasz, tyle dajesz… Aż tu pewnego dnia ktoś ci mówi: ale ja tego nie zamawiałem. I siwiejesz z wrażenia, i masz halucynacje… Ładnie mi w tym blondzie. Lepiej. Wyglądam wreszcie choć trochę, jak nie wiadomo kto... Gdyby zmrużyć oczy... A jeśli ten sen, to wcale nie był sen? Rozpinam ostrożnie bluzkę… Jest. Dziura. Tylko lekko zasklepiona świeżym strupem, ale wciąż bolesna. Myślę. Patrzę. Znowu myślę. Znowu patrzę. Dworzec. Pociąg… Jakby do Jelcza, taki w sam raz na krzywe tory, żeby się za bardzo nie rozpędzić… Zaraz odjedzie. Coś mi świta, coś we mnie rwie się, by zaryzykować raz jeszcze. Zaryzykować ten Jelcz! Jakiś głód nowych wrażeń pcha mnie do wejścia i wsiadam. Ale jedno wiem na pewno, nigdy więcej podróży z tymi męczennicami.

STACJA V

Persony do niej: ŁOTRZYCE, WAMPIRZYCE

K: Wybieram wagon pełen pań z pakunkami.
Usta w szmince i twarze otoczone lokami…
Muszę wstać, bo podsiadłam jedną niechcący.

ŁOTRZYCA: Ma bilet na przedział dla mordujących?

K: Dla jakich, dla kogo, że jak i że co?

ŁOTRZYCA: To przedział dla łotrzyc, maleńka, ot to.

K: Przepraszam… Ja chyba się nie nadaję…

ŁOTRZYCA: Ktoś głodny? Mam szczątki i właśnie je kraję!

K: Już rechot wokoło i śliskie uśmiechy,
Tu mężobójczynie przewożą bebechy.
Co Marie odcięły od własnych korpusów,
Te biorą od innych - od swoich fagasów.
I dzielą kikuty na reklamówki,
A potem zbroją nimi wylewki.
Zmrożona strachem w ich torby się wgapiam…

ŁOTRZYCA: Spokojnie, to taka arteterapia.
Wycinanki, przetwórstwo i prace ręczne
To sposób na traumę i zło konieczne.
Nie obawiaj się naszych rozchwianych stanów,
My kroimy głównie dzieci i panów.
I z zaradnością gospodyni domowej
Dzielimy starannie kończyny i głowę.
Są różne sposoby, sprawdzone metody,
To w beczce kiszonka, wylewka pod schody.
Gdy facet ci zajdzie za skórę poważnie,
Nie czekaj, bierz nóż i zaraz go zarżnij!
A gdy będziesz czystą, w sprzątaniu staranną,

Już wkrótce sfotografujesz się konno!
Pojedziesz na wczasy i zrobisz paznokcie!
I pójdziesz na tańce w kusym dekolcie!
Przeszkoda jest martwa, więc wcinaj tatara,
Już czeka na ciebie wspaniała kariera.
Gazety piszą o fabrykantkach aniołków,
Osach, wampirzycach i pannach na dołku.
Paskudach, demonach, mózgach operacji…
Morderstwo to początek wielkiej kreacji!
To nasza metoda. Chcemy dla niej patentu.
Rżnąć, co niewygodne do cna i do szczętu!

K: Tyle bab i tylko dwa wagony do pomieszczenia wszystkich nieczystości. Tylko dwie odpowiedzi: tak i nie. Albo jesteś kobietą dziurawą albo dziurawiącą. Soniu, Elu czy inna Klaro… Trzeba się na coś zdecydować. Zaczynam się bać, czy dobrze trafiłam…
Dokąd ten pociąg? - pytam nieśmiało.

ŁOTRZYCA: Tu piszą… Przez Jelcz on jedzie do Stanów.

K: Dlaczego do Stanów? Coś paniom doskwiera?

ŁOTRZYCA: Ech… W Stanach po mordzie jest większa kariera!
I proces publiczny i trzy apelacje…
To wszystko jest grunt pod ekranizację.
Wszędzie cię znają i drżą, i szanują,
Bo dystrybutorów w każdym kraju znajdują.
I choć byłaś tylko gospodynią domową,
Nagle się stajesz wielką gwiazdą filmową.

K: I przyjmą was? Wpuszczą? Bez względu na karę?
Czy panie są także dobrym towarem?
A może ja lepiej tam z męczennicami,
Doczekam spotkania z wielkimi nozdrzami?

ŁOTRZYCA: Tamte strasznie się puszą…

K: Jedna z łotrzyc mi zdradza.

ŁOTRZYCA: A po nich jest zawsze bardzo zła faza.
Towar dobry z pozoru, lecz wybrakowany.
Po nich mania, depresja, gówniane stany.
Za to my, kochaniutka, już tylko ku górze…
Co gorszego po mordzie jeszcze spotkać nas może?

K: Iść w prawo czy w lewo, już trochę się gubię
I taka niepewna utykam w przegubie.
Powstanie, rozbiory, bieda czy rabacja -
Lekarstwem na wszystko była emigracja.
Prosto w nozdrza imprezy lat siedemdziesiątych
Baby wchodzą w zbolałe umysły ćpających.
Udowodnić chcą wreszcie i nad tym się pocą,
Że te wszystkie pomyłki zdarzyły się po coś.

Gdy w loterii życiowej trafiłam na Basię,
O lepsze wcielenie zawalczyć przyda się.
To silne przeczucie, co w każdym z nas drzemie
Że każda gwiazda ma jakieś polskie korzenie.
Dalej, dalej wagonie Baś, Joli i Zoś!
Może tu nie ma rynku na naszą wielkość.

Wielkie nozdrza ponownie zasysają biały pociąg pełen świętych i wampirzyc. A Debbie Harry gdzieś w Nowym Jorku wchodzi w szybę baru szybkiej obsługi i uszkadza sobie kręgosłup szyjny, nos i czoło.

STACJA VI
Konfrontacja

Persony do niej: Debbie, Ja, Christa McAuliffe

DEBBIE: O, Boże! Co to było!? Debbie, zatrzymaj się! Co się z tobą dzieje?

K: Jestem w niej! *(„Atomic")* Debbie Harry w samym środku trasy koncertowej wbiega w szybę baru szybkiej obsługi i uszkadza sobie nos, czoło i kręgosłup szyjny. Widzę to ze środka. Piękny widok. Najlepsze miejsca, trybuna VIP. Moja twarz, która nie jest moją twarzą, odbija się w szkle. Jestem obolała, ale szczęśliwa, bo nagle wszystko jest na swoim miejscu. Nawet z tym rozkwaszonym czołem jestem jedyna w swoim rodzaju, ikoniczna, niestrudzona, nonszalancka, piękna i seksowna. Wreszcie jestem bardziej, lepiej, wreszcie to wszystko nie poszło na marne, wreszcie mam jakieś osiągnięcia, coś takiego, żeby dostać klucze do miasta, honorowy patronat, albo odbić sobie w chodniku jakąś część ciała. Koniec z Basią, Kasią, Konfacelą. Wreszcie cieszą się, że istnieję. Wreszcie każdy mnie pragnie, a nie być może tylko ktoś-gdzieś-kiedyś, ale istnieje szansa, że mieszka na innej półkuli albo właśnie coś go rozjechało. Wreszcie przestaję się martwić, że wszyscy urodzili się później, że są młodsi, a więcej osiągnęli. Wreszcie nie muszę myśleć o tym, co by tu zapoczątkować, żeby nadać sens istnieniu…

DEBBIE: Chris, coś mi strasznie pierdoli w głowie i to w dodatku po polsku. Muszę do hotelu.

K: Mówi Debbie Harry, a ja słyszę to z samego środka. Nasze spojrzenia spotykają się w tej nieszczęsnej szybie baru szybkiej obsługi. Cześć! To ja, twoje nowe nadzienie. Wdarłam ci się do głowy z całym dziedzictwem szlachetnego cierpienia własnego i cudzego. Nie musisz się mnie bać. Chcę sobie tylko posiedzieć u ciebie w środku i nabrać poczucia sensu. Bo u mnie go nie ma. Widoki mam kiepskie. Chciałabym się zapisać do ciebie na gapę. Mam trzydzieści sześć lat i wszystko mi się rozsypało…

DEBBIE: To sobie wyobraź, że masz dwadzieścia pięć. W czym problem?

K: W tym, że wyobraźni mi nie starcza i siły. Niosę na barkach te wszystkie lata, ten gówniany scenariusz, którego nie mogę nawet odrzucić, a jestem pewna, że napisali go na kogoś innego. Wszystko mnie boli od dźwigania go.

DEBBIE: W Szwajcarii wszczepiają embriony czarnej owcy. Boli jak szlag, ale jest całkiem regeneracyjne. Lepsze niż odżywka.

K: Nigdy nie pojadę do Szwajcarii, chyba że na twoich barkach.

DEBBIE: Nie, ja już tam byłam, a teraz jestem strasznie zajęta.

K: Jestem zdesperowana. Mam obsesję.

DEBBIE: To dobrze. Moim zdaniem desperacja i obsesja to dobre cechy. Co umiesz robić? Co cię interesuje?

K: Nie wiem… Umiem tylko redagować cudze zmartwienia.

DEBBIE: To zredaguj sobie własne, wyciągnij wnioski i idź dalej. Przecież masz dopiero dwadzieścia pięć lat.

K: Nie wyrzucaj mnie.

DEBBIE: Jestem człowiekiem lat siedemdziesiątych i rozumiem, że każdy się kiedyś błąkał. Masz czas do północy. I błagam nie zostawiaj po sobie żadnych pojedynczych butów. Ma być porządek. Choć wyglądasz mi po prostu na uraz rdzenia albo bardzo złą fazę, to potraktuję cię poważnie. Każda kobieta powinna być traktowana poważnie. I nigdy nie powinna prosić, żeby wrócił. Mówię to tak sobie, na wszelki wypadek. A teraz wezmę cię na wrestling. Uwielbiam wrestling. Czas na walkę dobra ze złem, ślicznotko.

K: Wchodzimy do klubu. Na środku ring.
Na ścianach plamy i szary tynk.
Sala napręża muskuły radośnie,
Bo zaraz ktoś z hukiem o matę trzaśnie.

DEBBIE: To jest naprawdę dobre na wszystko.
Zaraz przestaniesz być defetystką.

K: Gwizdek! I wreszcie zaczyna się walka.
Na ringu stoję ja?… i jakaś rywalka.
Debbie tam na trybunach kciuki zaciska,
Pora na łomot? Znowu krwią będę tryskać?
Poznaję Maryję z pociągu białego,
Co trochę ma rysy męża byłego.
Badamy się chwilę, trącamy palcami,
Bierzemy pod bary, prychając nozdrzami.
Gwizdek! Łotrzyca naciąga gacie.
Co rundę, kto inny leży na macie.
Przez portal przybyły, by bić, ile siły,
Za krzywdy! Mężowi nos rozkwasiły.
Bo mąż też tu walczy, a ja go przewracam,
Oddaję za wszystko, co wzięłam przez lata.
Nawet Maria Pobożna muskuły napręża
I bije mojego, byłego już, męża.
Gdzie ja? Gdzieś zniknęłam, stopiłam się z nimi?
Wyrywam się spod nich tak ciężkich, olbrzymich!
Rzucam na łopatki męża, Marię z Torunia, tę od odpowiedzialnych. Przerzucam przez bark panią od piekła i gołębi, powalam wszystkie amputowane. Chwytam za kikuty, wsadzam palec w rany. Ciskam na łopatki drzemiące we mnie wampirzyce i łotrzyce, które najchętniej wszystko by spaliły i pocięły… Nie mam już dwudziestu pięciu lat! Nie mam siły was ciągle dźwigać! Tyle czasu, tyle zmarnowanego czasu… Gwizdek!

DEBBIE: Brawo! Załatwiłaś wszystkie swoje demony w dziesięciu rundach. Wygrałaś! Zostałaś całkiem sama ze sobą.

Przydługa cisza.

DEBBIE: To trudne, ale najwyższa pora stanąć na nóżki.

K: Zwycięstwo mi nie pomoże. To przeze mnie zderzyłaś się z szybą. Ja to mam wpisane w siebie. To nieszczęście, to frajerstwo...

DEBBIE HARRY: Nie przypisuj sobie tak wielkich zasług. Sama zderzyłam się z szybą. Umiem takie rzeczy. W życie wpisana jest szyba. No, dobra. Poleżymy razem. Zobacz…! Ale ta planeta ładnie się kręci…

K: Patrzymy w górę. I rzeczywiście, niebo przesuwa się powolutku, czas zwalnia, a niebo nad nami robi się większe i większe... Tryliardy planet, gwiazd. I my na dole. Dwie kobiety w jednej - szczęśliwa i smutna. Jesteśmy mieszkankami Ziemi! Ale wycieczka! Dobrze było się załapać na ten pociąg, żeby zobaczyć to niebo nad nami. Jakie to jest wszystko duże! Boże redaktorze! Ale Bóg redaktor jak zwykle nie odpowiada, więc może wyjechał na urlop albo po prostu go nie ma. I trzeba będzie to zredagować jakoś samemu? Między gwiazdami leci kobieta ubrana w rakietę. To Christa McAuliffe. Pierwszy cywil, szarak w kosmosie. Jakiś John, Mia czy inna Kate w sam raz do rakiety. W castingu na szaraka wygrała właśnie ona - nauczycielka, mama dwójki dzieci, żona. Wyprzedziła jedenaście tysięcy osób. Przeszła skomplikowane szkolenie. Odwiedziła programy telewizyjne. A potem w siedemdziesiąt trzy sekundy po starcie - Puf!
Dreaming is free

Czytanie z nienapisanego listu do Christy McAuliffe.

Droga Christo, to była piękna próba. Do zobaczenia w kosmosie.

DEBBIE/K: Dobra, wystarczy. Jest północ. Wypad z mojej głowy - mówi Debbie i lekko rozmywa się w jajecznej poświacie. - Jestem cholernie zajęta i po tym kiepskim dniu, przydałby mi się jakiś dobry. Zostajesz sama. Zawsze byłaś, więc tak naprawdę nic się nie zmienia. - Czuję pod ciałem znajomą podłogę. W brzuchu ból, ale śladu po dziurze nie widać. - No już, stawaj na nóżki. Przetrwałaś pożar patelni, jeszcze dużo pożarów przed tobą - mówi Debbie Harry w hełmie strażackim. - Nie tak łatwo ustać na kręcącej się Ziemi, ale poradzisz sobie. A gdybyś już nie dawała rady i potrzebowała z kimś pogadać, to call me. Wsiądę do pociągu i zalęgnę się w twojej głowie. Jeśli tylko będziesz potrzebowała, jeśli cię najdzie w nocy albo w dzień taka potrzeba, nie martw się różnicą czasu. Po prostu call. Call me.
Śpiewa „Call me”.

I z tym się rozchodzą.